

Zbigniew Jaśkiewicz

Kamil Ciecierski

Zbyszek: Ja to rozumiem, sam kiedyś nie lubiłem skrzypiec... I wtedy nagle zrozumiałem, że to nie jest tak, że słucha się muzyki, określonego utworu, określonego kompozytora. Tam się słucha tej osoby, która gra, słucha się tego, co ona chce słuchaczowi przekazać. Muzyka to jej osobista wypowiedź.

Kamil: Są różne rodzaje wolontariatu. Od bezpośredniej pomocy ludzi do przekazywania po prostu pieniędzy. Są też wolontariaty, z których ludzie mają jakieś korzyści, np. bilety na Euro w zamian za darmową pracę przy organizacji tej imprezy. Ludziom łatwiej dać kasę i mieć to z głowy.

Zbyszek: Pierwsze moje pytanie brzmi: skąd się wziąłeś w Poznaniu i dlaczego?

Kamil: Nie wiem, jak tu najkrócej odpowiedzieć. Może więc zacznę od początku. Moi rodzice są z Płocka, mój tata jest wojskowym i tak się złożyło, że gdy rodzice się pobrali, musieli zamieszkać w Mirosławcu, to jest pod Wałczem.

Zbyszek: Twój tata jest więc lotnikiem?

Kamil: Nie, pracuje jako informatyk, ale w formacji lotniczej. Nie pamiętam dokładnie, czym się wtedy zajmował. Ale gdy skończyłem podstawówkę, do gimnazjum musiałem już chodzić w Bydgoszczy. I tu moja rodzina już została. Ja mieszkałem tu 6 lat, ale ponieważ nie było w tym mieście uczelni na dobrym poziomie, ostatecznie trafiłem na studia do Poznania. W Poznaniu dogadaliśmy się z paroma znajomymi i zamieszkaliśmy w jednym domu. Później mieliśmy parę perypetii związanych z tym mieszkaniem, nasza ekipa się rozpadła, potem znów ze sobą mieszkaliśmy. Obecnie wynajmujemy już czwarte lokum w Poznaniu.

Zbyszek: No dobrze, ale czemu Poznań?

Kamil: Składałem papiery na Informatykę do Warszawy, Poznania i Wrocławia. Ostatecznie wybrałem Poznań ze względu na to, że jest najbliższej. A także, że to dobra Politechnika.

Zbyszek: I nie żałujesz?

Kamil: Raczej nie. Warszawa wydawała mi się za bardzo zatłoczona, z kolei między Wrocławiem i Poznaniem nie widziałem dużej różnicy. Oba miasta to wielkie kampusy studenckie.

Zbyszek: Chodzi mi bardziej o to, czy atmosfera miasta Ci odpowiada, czy Ci się tutaj podoba?

Kamil: W porównaniu do Bydgoszczy atmosfera jest na pewno ciekawsza, pewnie ze względu na młodzież. W Bydgoszczy ciężko natknąć się na studenta w moim wieku. Są tam albo już tacy starsi ludzie, albo licealiści, a po zmroku jest pusto.

Zbyszek: A masz jakichś kolegów Poznaniaków?

Kamil: Całkiem sporo.

Zbyszek: Czy nie uważasz, że tutaj jakoś inaczej ludzie się ze sobą komunikują? Bo jak ja tu przyjechałem, to był to dla mnie prawie szok – zupełnie inny sposób zachowania, mówienia, porozumiewania się.

Kamil: Myślę, że ze względu na to, że jest tu tyle ludzi, to miasto żyje własnym życiem, i w ciągu dnia i wieczorem. Ludzie są dla siebie bardziej otwarci, skłonni, by porozmawiać, poznawać się, bo każdemu jest to na rękę, tak mi się wydaje przynajmniej.

Zbyszek: Ja, gdy przyjechałem tu z tej mojej Galicji, z Rzeszowa, to już pierwsze kontakty mnie zaskoczyły. Gdy załatwiałem swoje sprawy na uczelni, na przykład akademik czy stołówkę – takie bony były specjalne – to jak rozmawiałem z tymi paniami w administracji, one zawsze kończyły pytanie czy zdanie takim dopiskiem TAK albo NIE: „To chce Pan tu mieszkać, TAK?”. To jest oczywiście germanizm: NIE – NICHT, ale to mi się wydawało takie śmieszne. Nie wiedziałem, co to ma oznaczać, czy większą otwartość w stosunku do mnie, czy przychylność? „Nazywa się Pan Jaśkiewicz, TAK?”

Kamil: No, jest chyba coś takiego. Ostatnio miałem okazję być na wykładzie pewnego profesora filozofii na UAM i on ma w zwyczaju zawsze kończyć zdanie: TAK, TAK? I tak przez cały wykład, co trzecie zdanie. Ludzi to strasznie irytowało. Nie zastanawiałem się nad tym, ale może faktycznie jest jeszcze dużo takich germanizmów.

Zbyszek: Dużo, dużo. Ja mieszkałem na tzw. pokoju u starych Poznaniaków i zdążyłem się z tym oswoić, teraz mnie to nie razi, więc albo się zmieniło, bo na pewno się dużo zmieniło, albo ja już się tak przyzwyczailem. I już czasem żona mnie upomina, że za często mówię „nie”, NIE?

A powiedz mi w takim razie, czy życie studenckie wyobrażałeś sobie takie, jakie tutaj jest, czy miałeś jakieś inne wyobrażenia?

Kamil: Ja zupełnie nie wiedziałem, czego się spodziewać, przyjeżdżając do Poznania. Pierwszy raz miałem samodzielne życie na własną rękę ze znajomymi.

To z jednej strony super, z drugiej trzeba było poradzić sobie z wieloma takimi rzeczami bardzo prozaicznymi, jak dogadanie się w sprawie zmywania naczyń. Trzeba było też znaleźć równowagę pomiędzy zajęciami na uczelni a życiem prywatnym, studenckim. Ale w końcu udało się znaleźć taką równowagę.

Zbyszek: Chcesz zostać w Poznaniu w przyszłości?

Kamil: Z jednej strony jest tu fajnie, ale z drugiej strony czasem mam dość tego miasta. Nie wiem, czy chodzi o ludzi, czy o samo miejsce. Ale chyba i tak jest tu lepiej niż w Warszawie.

Zbyszek: Niekoniecznie, moim zdaniem jest tutaj mniej fantazji niż w miastach typu Wrocław, Kraków, Warszawa.

Kamil: No, te miasta mają jakieś swoje dziedzictwo, którym mogą się chwalić.

Zbyszek: Masz rację. Poznaniacy mają ciekawą tradycję, ale nie umieją z niej korzystać, pielęgnować.

Kamil: Bardziej miasto seksu i biznesu.

Zbyszek: W albumie o klubie Od Nowa przeczytałem zdanie Tadeusza Szeligowskiego – to była w Poznaniu po wojnie wielka postać, taki tutejszy papież muzyki. On organizował Akademię Muzyczną, ustawiał operę, filharmonię, był kompozytorem, a był z Wilna. Więc przeczytałem takie jego zdanie: „No cóż, w Poznaniu dobrze się mieszka, nic więcej”. No, to nie jest dobra wizytówka dla Poznania.

Kamil: No właśnie, dobrze się tu mieszka, jeśli chodzi o infrastrukturę, ale czasem potrafi się znudzić to miasto. Takie mam odczucia. Chociaż często sobie jakoś ten Poznań radzi. Byłem na przykład zaskoczony, że z okazji festiwalu „Poznań dla Ziemi” są ściągane tutaj zespoły światowej klasy. Ale z drugiej strony łatwo popaść tutaj w rutynę. Jakoś staram się z tym ułożyć, poszerzać swoje horyzonty kulturalne, aby coś z tego Poznania jeszcze wyciągać.

Zbyszek: A jak to wygląda u Twoich kolegów, tam na Politechnice? Czy oni w ogóle interesują się jakoś kulturą? Na jakie koncerty chodzą albo czy poszliby kiedykolwiek do teatru?

Kamil: Informatycy to już zupełnie inna działka studentów. Mają swój własny świat.

Zbyszek: Taka trochę elita.

Kamil: Może tak, ale mają zupełnie inne podejście do życia. Taki typowy informatyk żyje we własnym świecie komputerów i fantastyki. Można go poznać po tym, że mniejszą uwagę przywiązuje do swojego wyglądu. Ale z drugiej strony mogą się bardzo różnić: są informatycy, którzy interesują się muzyką, tacy, którzy

interesują się klasyką. Mają też swoje zajęcia. Byłem ostatnio na koncercie kolegi, który ze mną studiuje i komponuje muzykę elektroniczną. Na szczęście do typowych informatyków można zaliczyć tylko część moich znajomych z uczelni.

Zbyszek: A czy oni daliby się zaprosić na wystawę malarską?

Kamil: Trzeba by ich namówić. Sami z siebie chyba nie.

Zbyszek: A czy któryś z tych Twoich znajomych słyszał o koncercie Maxima Vengerova?

Kamil: Raczej nie, ale myślę, że to dlatego, że typowy poznański student raczej nie interesuje się kulturą.

Zbyszek: Ja to rozumiem, sam kiedyś nie lubiłem skrzypiec. Lubiłem muzykę klasyczną, ale skrzypce mnie denerwowały. Przypadkowo odkryłem ich smak. Trafiłem raz na eliminacje Konkursu Wieniawskiego. I wtedy nagle zrozumiałem, że to nie jest tak, że słucha się muzyki, określonego utworu, określonego kompozytora. Tam się słucha tej osoby, która gra, słucha się tego, co ona chce słuchaczowi przekazać. Muzyka to jej osobista wypowiedź.

Uważam, że studenci, gdy przyjeżdżają do takiego dużego miasta jak Poznań, powinni trochę próbować poznać sztukę współczesną, a przez nią współczesną kulturę. Czy dziś student może w pojedynkę dać sobie radę, by uczestniczyć w życiu kulturalnym miasta?

Kamil: Wiadomo, że są pewne kwestie, w których trzeba razem współpracować. Są też rzeczy, które można zrobić samemu, ale mogłyby zająć dużo więcej czasu. Jeśli chodzi o samą naukę, studenci w dzisiejszych czasach mogą łatwo się zorganizować, założyć forum internetowe, wymieniać informacjami, notatkami, ogłoszeniami. Nie ma też problemu, żeby zwrócić się do koleżanki czy kolegi o pomoc.

Zbyszek: Teraz na studiach, w systemie bolońskim, studenci bardzo są zatomiżowani. Każdy może sobie wybierać zajęcia, na które będzie chodzić. Nie ma takiej sytuacji, jak za naszych czasów, że wszyscy byliśmy w grupach i realizowaliśmy ten sam program. Zaletą tego systemu było to, że grupa zawsze może sobie pomóc. Myślę, że mamy taką potrzebę uczestniczyć we wspólnocie i że życie społeczne opiera się na tym, aby gdzieś tam dla kogoś być użytecznym, komuś tam pomóc i z kimś coś przeżyć, aby mieć taką większą przyjemność życia. I odwrotnie, łatwiej nam liczyć i dostać pomoc, gdy jej potrzebujemy.

Kamil: Z jednej strony mam faktycznie ochotę w czymś uczestniczyć, w czymś takim, jak teraz w piśmie Aurora, ale z drugiej strony byłem już kiedyś w organizacji studenckiej.

Zbyszek: Czy jest duże „parcie” u studentów na szukanie forsy?

Kamil: Różnie, część chce jak najszybciej odciążyć rodziców, część zupełnie się tym nie przejmuje i korzysta z życia.

Zbyszek: Gdy byłem w ZSP, to bez wątpienia było dużo profitów z przynależności: wycieczki zagraniczne, nagrody finansowe, wczasy studenckie. Ale starczyło tego dla około 10–15% studentów, podczas gdy do ZSP należało 80–90% wszystkich studiujących. Natomiast w ZSP pojawiali się przede wszystkim ludzie, którzy chcieli realizować swoje marzenia, stworzyć teatrzyk, poznać świat. Np. jest taki Tomek Szymański, obecnie dyrektor Teatru w Gnieźnie. On bardzo chciał być reżyserem, być dyrektorem teatru i założył Teatr Ósmego Dnia. Tworzenie teatru to był dla niego i całej jego grupy (a byli tam tacy ludzie jak Staszek Barańczak, Lech Raczak, Waldek Leiser, Janka Karasińska, Piotr Frydryszek) rodzaj wolontariatu, to było misją. Chcieli zrobić teatr zupełnie inny od tradycyjnego, autentycznie alternatywny, i dobrze im to wyszło. Teatr potrafił postawić pytania ważne dla ich generacji. Dlatego stał się w pewnym momencie niebezpieczny politycznie dla władz.

Czy wolontariat jest potrzebny w naszym kraju?

Kamil: Są różne rodzaje wolontariatu. Od bezpośredniej pomocy ludzi do przekazywania po prostu pieniędzy. Są też wolontariaty, z których ludzie mają jakieś korzyści, np. bilety na Euro w zamian za darmową pracę przy organizacji tej imprezy. Ludziom łatwiej dać kasę i mieć to z głowy, ale moim zdaniem praca daje nieporównywalnie większą satysfakcję. Mam wrażenie, że żyjemy w świecie głęboko zakorzenionym w materializmie, gdzie rzeczy mają uszczęśliwiać, choć tak naprawdę nie mogą tego zrobić. Świat kręci się wokół pieniędzy.

Zbyszek: Badania wykazują, że największy poziom szczęścia jest tam, gdzie nie ma wielkiego bogactwa.

Kamil: Dokładnie to jest to. Człowiek nie nauczony tego, że musi mieć, aby być szczęśliwym, cieszy się z tego, co ma.

Zbyszek: Jeśli jestem szczęśliwy z jakiegoś powodu, to zazwyczaj chciałbym, żeby ktoś koło mnie dzielił ze mną tę radość. Bo są tacy ludzie, którzy np. kupią sobie wspaniały samochód, zamkną go w garażu, cieszą się i koniec. Pucuje go taki, ale nie wyjedzie, bo się boi, że go ukradną.

Kamil: Albo gdzieś zaparkuje w mieście, wraca i patrzy – przejechane kluczem.

Zbyszek: Jeszcze gdzieś tam w tamtych latach spotkałem takiego faceta, który po długim zbieraniu pieniędzy kupił sobie wspaniały samochód pod tytułem Łada, produkcji ZSRR. I tak się bał, że mu go ukradną albo zniszczą, że w końcu

zamknął go w garażu, i kupił na giełdzie starą syrenkę, którą jeździł do pracy. Jak ją kupił, to dopiero odczuł pełnię szczęścia z posiadania samochodu Łada!

Kamil: No widocznie jest tak, że człowiek jest nieszczęśliwy, jak czegoś nie ma, a jak ma, to też jest nieszczęśliwy, bo boi się to stracić.

Zbyszek: Właśnie. To gonienie za pieniędzmi, tak mi się wydaje, rzadko kiedy daje poczucie szczęścia, bo jak masz więcej, to się okazuje, że nagle chcesz mieć jeszcze więcej. Dlatego trzeba kupić pół litra wódki. Jak sam wypijesz, to nie masz poczucia szczęścia, ale jak z kimś przysiądziesz i tak pogadasz serdecznie, to wtedy ta wódka smakuje jak cholera! Gdy wyjechałem na Zachód, to zauważyłem, że tam ludzie są dużo bardziej oddaleni od siebie niż u nas. A ten wyścig szczurów zmusza czasem, by podłożyć świnię drugiemu, pokazać, że jest się lepszym od kolegi. A jeśli mu pomożesz, to sam możesz stracić pracę.

Kamil: I jak tu żyć w takich czasach?

Zbyszek: Normalnie. Ojciec znanego pisarza, Antoniego Słonimskiego, taki bardzo dobry przedwojenny lekarz warszawski powiedział: „Jak nie wiesz, jak się zachować, to zachowuj się przyzwoicie”. Niby prosta maksyma, ale dobra.

Kamil: Z Pana opowieści wnioskuję, że za czasów PRL to był jeden taki wielki wolontariat.

Zbyszek: Znacznie większy niż teraz. Nie było zresztą żadnego wolontariatu, który polegałby na zbieraniu pieniędzy. Czasem trzeba było coś wyłożyć, ale raczej musieliśmy sobie pomagać, bo ze wszystkim było trudno.

Kamil: A jak to dokładnie wyglądało?

Zbyszek: Z reguły wiedzieliśmy, jakie nasi przyjaciele, znajomi, mają kłopoty. I było rzeczą naturalną, że się pomagało, jeśli to było możliwe. Powszechne było np. dawanie ubrań po dzieciach dalej, przekazywanie materiału na pieluchy, które się samemu szyło. Np. szukaliśmy wózka dla córki i okazało się, że znajoma w Okrągłaku zatrzymała taki ładny wózek, bo młode matki to wszystko chcą mieć nowe i ładne. Nikt jej o to nie prosił. Bo na rynku oprócz ładnych rzeczy była cała masa towarów brzydkich i tandetnych. Trudno mi powiedzieć, czy to był wolontariat, bo z jednej strony to była taka pomoc sąsiedzka, międzyludzka. Jak ktoś miał znajomych na wsi, to przywoził mięso, drób, kiełbasy i to się rozprowadzało po znajomych. Ale z drugiej strony były takie różne akcje charytatywne. Poza tym ludzie sami się zrzeszali i organizowali różne akcje, zbiórki na własną rękę.

Teraz skutek globalizacji mamy też inną sytuację, ale też inne problemy. Kiedyś kupno samochodu to była niesłychanie trudna inwestycja. Trzeba było

się postarać, czyli gdzieś tam wychodzić, wystać w kolejkach, żeby dostać talon. Żeby kupić pralkę, sam stałem na zmianę z sąsiadem przez prawie całą noc. Bo to była państwowa dystrybucja przy towarach deficytowych, takich jak mieszkania, samochody, pralki, papier drukarski itp. Władza, by wzmocnić swoje wpływy, reglamentowała takie towary przy pomocy talonów. Urząd miasta czy województwo miały taką pulę talonów i jak się dostało talon, i miało pieniądze, to można było kupić samochód. Efekt był taki, że po dwóch latach używania ludzie sprzedawali samochód i dostawali za niego więcej niż płacili za nowego.

Kamil: Czyli wspólne problemy łączyły ludzi.

Zbyszek: Tak, dokładnie.

Kamil: Teraz nie ma już tylu i tak znaczących wspólnych problemów, stąd ta atomizacja społeczeństwa.

Zbyszek: Zawsze można było, chociaż czasem z kłopotami, być człowiekiem porządnym. Był problem z otrzymaniem mieszkania dla przykładu. Ale jak się poszło do pracy w milicji (teraz policji), to mieszkanie można było dostać szybciej. Nie wszystkim to jednak odpowiadało, bo nie uznawano to wtedy za przyzwoity zawód. Znam jednak osoby, które poszły do milicji i pozostały przyzwoite.

Kamil: A czy takie wycieczki zagraniczne trudno było zorganizować? Bo rozumie, że przepustki itd.

Zbyszek: Bardzo. Trzeba było mieć dużo kontaktów.

Kamil: To były wycieczki na Wschód czy na Zachód?

Zbyszek: Na Zachód. Komuniści bali się rozprzestrzeniania idei, ale można było wyjeżdżać na zasadzie wymiany. Nasza centralna organizacja ZSP miała kontakty z różnymi organizacjami studenckimi w Europie, tj. we Włoszech, Szwajcarii, Francji, Jugosławii. Organizowaliśmy więc wycieczki i to było bardzo atrakcyjne. Grupa składała się z ludzi z całej Polski. Praktycznie dopiero się poznawali, gdy się grupa zebrała.

Kamil: Dużo Pan świata zwiedził?

Zbyszek: Trochę tak. Zrobiłem raz kurs przewodnika grup zagranicznych i prowadziłem wycieczki. Ale miałem też raz pecha. W Algierze miał się odbyć Międzynarodowy Festiwal Młodzieży i Studentów, byłem w grupie polskich studentów, którzy tam mieli wyjechać. Cieszyłem się, że zobaczę Afrykę. No i pech chciał, że na dwa miesiące przed Festiwalem w Algierii miał miejsce pucz, niejaki Bumediem obalił poprzedniego przywódcę, Ben Belę, i Festiwal odwołano.

Kamil: Nie chciał Pan zostać za granicą?

Zbyszek: Nigdy. Dokąd nie wyjechałem, miałem poczucie, że to nie mój kraj. Zupełnie inaczej się tam żyło. Inny język, a przede wszystkim inna kultura.

Kamil: Pan reprezentuje sobą typ społecznika. Otwarty na innych i chętny do organizacji wspólnych przedsięwzięć.

Zbyszek: A co mam robić? Książki czytać? Zarabiać? Nie umiałem nigdy zarabiać pieniędzy.

Kamil: To dobrze mieć własny sposób na życie. Nie wszystkim udaje się go znaleźć.

Poza organizowaniem wycieczek, czym jeszcze zajmowało się Zrzeszenie Studentów Polskich?

Zbyszek: Wycieczki zagraniczne to była taka śmietanka. Rozdział miejsc odbywał się raz w roku i dotyczył wycieczek zagranicznych, obozów letnich, czasów nad morzem itp. Ale te wyjazdy były organizowane centralnie, przez naszą centralę w Warszawie. Natomiast my na co dzień zajmowaliśmy się bardzo różnymi sprawami. Turystyką także. Organizowaliśmy np. wycieczki, wyprawy specjalistyczne, w tym także tzw. rajdy, czyli masowe wyjazdy w określonym terenie.

Rada Okręgowa ZSP wspólnie ze studenckim oddziałem PTTK (na jego czele stał Włodek Łęcki, późniejszy wojewoda i senator) organizowała co rok jesienią Rajdy Zachodnie. Związane były z naszymi ziemiami zachodnimi, które zostały przyłączone do Polski po II wojnie światowej, a więc z województwami koszalińskim, szczecińskim i zielonogórskim. To były świetne imprezy, ludzie wyjeżdżali na 2–3 dni pociągami albo autobusami, wędrowali ileś tam kilometrów, spali w szkołach i internatach, a na zakończenie spotykali się w jednym wybranym miasteczku, gdzie organizowane były występy, dawano grochówkę, znaczki i tak dalej. Wydawaliśmy specjalne przewodniki po tych terenach. To było sympatyczne i integrujące. Gdy RO organizowała rajdy zachodnie, to poszczególne rady uczelniane też chciały organizować swoje rajdy, zapraszając oczywiście studentów ze wszystkich uczelni. I tak „Rolnicy” organizowali „Rajd Księżycowy” (chodziło się trochę po nocy), Akademia Medyczna „Rajd pod parasolem”, Politechnika „Złaz wiosenny” itd.

Kamil: Zdarzyło się, że ktoś się zgubił w trakcie takiego rajdu?

Zbyszek: Tak, i to dosyć często.

Kamil: Ale zawsze się odnajdywali?

Zbyszek: Tak sądzę.

Muszę Ci trochę więcej opowiedzieć o naszym Zrzeszeniu, które nas bardzo związało. ZSP powstało w 1950 roku, a więc w czasie absolutnie stalinowskim.

Miało zastąpić wcześniej zlikwidowanego Bratniaka, czyli studenckie Stowarzyszenie Bratniej Pomocy, które działało przed wojną na wyższych uczelniach, a które zajmowało się organizacją życia studenckiego. Zwłaszcza sprawami bytowymi. Same uczelnie przed wojną nie zajmowały się takimi rzeczami. Taka praktyka została uznana po 1945 roku za przeżytek burżuazyjny i upaństwowiono wszystko, co Bratnia Pomoc posiadała, a więc między innymi akademiki, stołówki i całą bazę materialną. A ponieważ te potrzeby były ciągle niezaspokojone, więc powstało Zrzeszenie Studentów Polskich.

Kamil: Jak to Zrzeszenie wyglądało na początku lat 50.?

Zbyszek: Gdy ja przyszedłem na studia, to się dopiero tworzyła autentyczna organizacja studencka. Wtedy tworzyła się taka rada uczelniana, złożona z kilkunastu zapaleńców (na całą kilkutyśieczną uczelnię), która próbowała zajmować się sprawami studenckimi. Kiedyś przypadkowo trafiłem na zebranie tzw. mężów zaufania, których wybierała każda grupa studencka. Na tym spotkaniu młody prawnik, dość elegancki, referował nowe zasady przyznawania stypendiów. (Jak się później dowiedziałem, był to Jurek Mańkowski, przewodniczący rady uczelnianej ZSP). Był zdumiony, że na oficjalnym, jakby nie było, zebraniu można było mówić rzeczowo, sensownie, przedstawiając spokojnie decyzje władz, dostrzegając zalety i dzieląc się wątpliwościami. Strasznie mi się to spodobało i wtedy postanowiłem dołączyć do tych ludzi z ZSP.

Wtedy młodzież, a także starsi już ludzie, którzy nadrabiali braki edukacyjne, generalnie chcieli uczestniczyć w odbudowie kraju. Gdy przyszedłem do Poznania na studia, to był koniec lat 50., warunki były nędzne. Ale to już było po tzw. odwilży 1956 roku, więc nie było takiego nacisku politycznego na uczelniach jak poprzednio. Panowało dosyć szerokie przekonanie, że mimo narzuconego nam przez Rosjan ustroju, można się będzie jakoś urządzić. Częściowo to była prawda, a poza tym nie było wyboru. Granice były zamknięte i trudno było myśleć o emigracji. Niemożliwe było szukanie pracy za granicą. Oczywiście byli też tacy, którzy komunistom absolutnie nie wierzyli. Ale większość młodzieży nie miała wyboru. Był nacisk, by brać udział w pochodach pierwszomajowych i różnych wiecach, wyrażających poparcie dla rządu, ale przymusu nie było. Wszelkie organizacje były (najczęściej przez donosicielstwo) infiltrowane przez służby bezpieczeństwa. W skrajnych przypadkach można było wylecieć ze studiów. Ale mimo wszystko to były rzadkie przypadki. Służba bezpieczeństwa chciała wiedzieć, czy coś się nie wykluwa, bo to, że ludzie byli w bardzo dużym procencie przeciwni tamtemu ustrojowi, było dosyć oczywiste. Teraz, gdy na to

się patrzy, można stwierdzić, że rządząca partia była bardzo niepewna lojalności społeczeństwa.

Gdy komuniści zdobyli władzę (na bagnietach Armii Czerwonej – jak to się teraz określa), cały czas czuli na plecach wrogi oddech całkiem sporej części społeczeństwa i bali się, że coś w pewnym momencie pęknie. Stąd ta inwigilacja, a zarazem propaganda, że dobry Polak to komunista, że kto kocha Polskę, ten powinien popierać komunistyczny rząd i partię. Takie były warunki, które określały życie polityczne w kraju, także w uczelniach. Ale – to chyba warto powiedzieć – kto chciał być uczciwym i porządnym człowiekiem, ten był.

W warunkach, gdy całe życie gospodarcze, społeczne, kulturalne było upaństwowione, taka organizacja jak Zrzeszenie Studentów Polskich, masowa i bardzo demokratyczna, była pewnego rodzaju ewenementem. Powoli stała się głównym organizatorem życia studenckiego. Zajmowaliśmy się wszelkimi problemami ważnymi dla studentów: ekonomicznymi, kulturalnymi, sportowymi, turystycznymi, nawet dydaktycznymi – tymi ostatnimi trochę bez sensu, bo była to podstawowa działalność uczelni. Ale czasem trzeba było bronić niektórych studentów. A także ZSP organizowało konferencje popularnonaukowe i obozy badawcze, niektóre bardzo ciekawe. To była bardzo fajna, przynosząca dużo satysfakcji robota.

Kamil: Jakie były początki tego ZSP?

Zbyszek: Gdy byłem na pierwszym roku studiów, to była jedna rada uczelniana – praktycznie kilkanaście osób. Rok później zaczęto tworzyć rady wydziałowe, które robiły na swoich wydziałach to samo – sprawy bytowe, imprezy kulturalne, jakieś „czyny społeczne”. Staraly się współpracować z władzami dziekańskimi. Później pojawiła się idea grup studenckich, to znaczy, by każda grupa ćwiczeniowa mogła też, przy wsparciu ZSP, organizować sobie jakieś imprezy. Stypendia teoretycznie przydzielał dziekan, ale to przedstawiciele studentów rozpatrywali wnioski o pieniądze, a także o miejsca w domach studenckich.

Do ZSP trzeba było się zapisać i płacić składki, ale wszystkie te wspomniane dobra musiały być rozdzielane wśród wszystkich studentów. To było bardzo prawidłowe założenie i przyniosło dobry skutek. Organizacja musiała myśleć kategoriami wszystkich studentów, nie tylko członków organizacji. To wytwarzało uczucie społecznej solidarności, przyczyniło się do rozwoju studenckiej samorządności, a tym samym do wzrostu zaufania i autorytetu ZSP wśród studentów. Na to trzeba było sobie zapracować. Bo ZSP było przez władze polityczne traktowane trochę nieufnie, jako że nie afiszowało się swoim zaangażowaniem

politycznym. Więc żeby być skutecznym, trzeba było zyskać sobie poparcie studenckie.

Bardzo ważne było wychodzenie naprzeciw zainteresowaniom studenckim. Jak znalazło się kilku zapaleńców, którzy skrzykiwali ludzi i tworzyli np. teatrzyk, to wtedy wspierano ich materialnie i organizacyjnie. W innych miastach akademickich powstawały naprawdę dobre teatry, np. w Warszawie były STS (Studencki Teatr Satyryków), Stodoła i Hybrydy, w Gdańsku teatr Bim Bom, we Wrocławiu Kalambur. To były teatrzyki na bardzo dobrym poziomie. Poznań był trochę z tyłu. Ale i tu działały, np. Pegaz i Pegazik u ekonomistów, Studencki Teatr Dramatyczny, potem Ramzesik w UAM. Ale gdy w końcu powstał Teatr Ósmego Dnia, to był to jeden z najwybitniejszych polskich teatrów, nie tylko w kategorii teatrów studenckich. A na AWF Zenek Laskowik, Krzysztof Jaślar, Olek Gołębiewski i inni stworzyli najpierw kabaret Klops, który miał wieczne kłopoty z cenzurą. I z tego kabaretu powstał kabaret Tey, który w pewnym momencie był najlepszym kabaretem w Polsce. I nagle Poznań stał się jednym z najsilniejszych ośrodków kulturalnych w Polsce sztuki alternatywnej, młodej inteligencji. To się skończyło niestety, ale myślę, że przy rozsądnej polityce uczelni i miasta można by tą twórczość kulturalną na poznańskich uczelniach odrodzić. Bo ludzie zdolni oczywiście są, ale nie mają ani opieki, ani warunków do pracy.

Kiedyś (to był rok chyba 1963) koło stołówki zobaczyłem plakacik, w którym ktoś zapraszał na spotkanie operowe – miała być jakaś śpiewaczka i prelekcja. Byłem zdumiony, że są studenci, którzy porywają się na promocję sztuki operowej – w końcu mało poważanej w środowisku studenckim. Okazało się, że pojawiła się taka grupka, której to się podobało. Umówiłem się z nimi na rozmowę, zaproponowałem współpracę z ZSP i tak powstało studenckie Towarzystwo Przyjaciół Opery (między innymi ze Sławkiem Pietrasem i Zdlichem Dworzeckim – późniejszymi dyrektorami opery i filharmonii), które przez kilka lat organizowało systematycznie wieczory operowe w klubach studenckich.

Dzięki Zrzeszeniu powstawały też kluby, których założeniem było prowadzić ambitną działalność kulturalną. Nie zarabiać. Gdy zaczynałem studia, wówczas rodził się w bólach klub środowiskowy Od Nowa. Pierwsze podejście okazało się fatalne, ponieważ twórcy, czyli poznańscy działacze ZSP, wymyślili, że założą piekarnię, która będzie pomagała prowadzić kawiarenkę studencką (zwaną Nawojką). Faktycznie przejęli piekarnię i produkowali pieczywo, zwłaszcza drożdżówki. Jednak pojawiły się jakieś kłopoty i piekarnię im zamknęli. Po jakimś czasie spróbowali od nowa i stworzyli klub Od Nowa. Skupili się tam

kreatywni studenci poznańscy, młoda inteligencja i młodzi twórcy. Na początku byli to głównie plastycy, którym było ciasno w ich Wyższej Szkole Plastycznej. Byli m. in. Jan Berdyszak, Ryszard Grajewski, Janusz Bersz, później Andrzej Matuszewski. Potem pojawili się inni, młodzi poeci, muzycy i zaczęli uprawiać własną sztukę. Grali tam np. Krzysztof Komeda, Jan Ptaszyn Wróblewski, Jerzy Milian. Kilka lat później w Od Nowie afiliował się Teatr Ósmego Dnia. A poza tym w Od Nowie były fajne wieczory taneczne, jakieś dyskusje, kawa itp. Do klubu szło się w każdej wolnej chwili, przychodzili studenci z całego miasta. Gdy ten klub zaczął się rozwijać i zdobył znaczną popularność (a był administrowany tylko przez ZSP), nagle zaczęły powstawać inne kluby, uczelniane. Zakładali je studenci, którzy chcieli w swoich akademikach mieć także takie kluby. Np. na Politechnice powstał Sęk, potem Agora. Akademia Rolnicza urządziła sobie klub Dziupła, w jakieś piwnicy u plastyków powstał klub Dno.

Kamil: Nie wzbudzało podejrzeń to, że zaczęło powstawać tyle klubów?

Zbyszek: To wszystko było za zgodą władz uczelni. Żeby powstał taki klub, potrzebna była zgoda rektora i pewne środki, a potem ludzie już sami go remontowali i urządzali.

Kamil: No tak, ale czy można było sobie pozwolić na prywatność?

Zbyszek: To była już całkiem legalna działalność studentów w ramach Zrzeszenia. ZSP było już wtedy faktycznym samorządem studentów, uznawanym przez władze uczelni. To było oczywiście obserwowane, kontrolowane. Lecz z drugiej strony studentom było wolno o wiele więcej niż instytucjom publicznym. Tzn. ta działalność, np. występy kabaretów, teatrzyków, nieraz dość kontrowersyjne, traktowane były jako imprezy „do użytku wewnętrznego”. Czyli zezwalano na jakieś ciekawe teksty, które nie mogły być publicznie prezentowane. Z tych studenckich kabaretów i teatrzyków wyrosła później twórczość, która praktycznie zdominowała działalność rozrywkową w całej Polsce. Takie nazwiska jak Niemen, Rodowicz, Osiecka, Markuszewski, Młynarski, Grechuta, Kaczmarski, to wszystko wyłoniło się ze studenckiego ruchu kulturalnego.

Bardzo nam się to podobało. Na występach takich teatrów, które przyjeżdżały z innych miast, pojawiały się tłumy. Satysfakcję sprawiało uczestniczenie w różnych imprezach i akcjach robionych wspólnie z fajnymi ludźmi. A jeśli spotykało nas uznanie ze strony studentów, to satysfakcja była znacznie większa. W ZSP nie było miejsca na indywidualne popisy, ludzie, którzy chcieli tylko „błysnąć”, szybko znikali. Gdy znalazłem się w radzie uczelnianej, pracowałem początkowo w komisji nauki. Kazano mi kontaktować się z kołami naukowymi i wspierać

organizacyjnie tam, gdzie była taka potrzeba. W tym czasie organizowaliśmy np. ogólnopolski Zjazd studenckich kół naukowych (kół humanistycznych) – olbrzymia impreza. Przyjechało mnóstwo fantastycznych ludzi, później świetnych naukowców, toczyły się zażarte dyskusje. Szefem merytorycznym Zjazdu był wtedy nasz przewodniczący komisji nauki, Jacek Wiesiołowski, dziś znakomity historyk, profesor, także Prezes Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

Gdy skończyłem studia, jeszcze parę lat pracowałem w Radzie Okręgowej ZSP. Tam zakończyłem swoją studencką karierę, będąc przez dwa lata przewodniczącym tej rady i starając się jak najlepiej współpracować z kolegami działającymi w uczelniach. Bo praca ZSP-owców w uczelniach, w bezpośrednim kontakcie ze studentami, była najważniejsza, mimo że dla poszczególnych osób był to najczęściej krótki epizod w ich karierze naukowej.

Kamil: Świadczy to o Pana charyzmie?

Zbyszek: Nie wiem, czy byłem charyzmatyczny, ale z pewnością zyskałem sobie dosyć sporą popularność. Nie miałem żadnych aspiracji do przywództwa, ale czułem, że takie rzeczy trzeba robić. Wydaje mi się, że udało mi się zdobyć duży kapitał zaufania, co było na co dzień bardzo potrzebne.

Myszę, że taka organizacja jak ZSP, która funkcjonowała do 1973 roku, była jedyna w swoim rodzaju. Władze polityczne próbowały organizować różne organizacje i akcje, aby przekonać młodzież do socjalistycznego modelu życia. Wzór radzieckiego Komsomołu z sekcją studencką przetrwał w zasadzie we wszystkich krajach obozu wschodniego. W Polsce po 1956 roku powstał Związek Młodzieży Socjalistycznej, który miał być tą wiodącą ideologicznie organizacją młodzieżową. Powstał też Związek Młodzieży Wiejskiej. Okazało się, że te inne organizacje nie miały wiele do zaproponowania studentom. One były za bardzo kontrolowane. W 1973 r. zlikwidowano ten podział i na bazie ZSP stworzono jeden związek studencki na polskich uczelniach – Socjalistyczny Związek Studentów Polskich. I to był koniec dobrych organizacji studenckich. SZSP jeszcze siłą dobrych wzorów kontynuował tradycyjne imprezy, ale to była za bardzo oficjalna działalność, która nie miała już autentycznego, samorządowego charakteru.

Kamil: Czyli ZSP nie miało żadnego charakteru politycznego?

Zbyszek: Nie. Unikaliśmy, jak się dało, politycznych deklaracji. Ale jeśli przychodziły oficjalne święta, np. Święto 1 Maja, trzeba było w nich uczestniczyć. Traktowaliśmy to jako taką imprezę, trochę nudną, ale w gruncie rzeczy nikomu specjalnie nie przeszkadzała. Po cichu mówiono nam, aby nie afiszować się

z tym, że studenci chodzą do kościoła. A na przykład w trakcie rajdów dużo osób chciało chodzić na msze św. w niedziele i program tak układaliśmy, aby im to umożliwić.

W wielu akademickich ośrodkach organizowane były studenckie juwenalia. W Poznaniu takie juwenalia się odbyły w 1957 roku, ale wtedy nabrały w pewnym momencie akcentów politycznych. Między innymi naśmiewano się z repatriantów z Rosji. To się odbiło niedobrym echem i zlikwidowano juwenalia na kilka lat. Gdy byłem w Radzie Okręgowej ZSP, moją ambicją było, aby je przywrócić. I przez 2 lata mojej kadencji udało nam się zorganizować dwa razy takie juwenalia. Nazywaliśmy je Gry Żakowskie, dla odróżnienia od innych środowisk.

Kamil: Z tego co się orientuję, aktualnie uczelnie poznańskie posiadają własne parlamenty, w skład których wchodzi studenci. Pełnią one podobne role do ZSP, wspomagają uczelnie w podziale stypendiów, organizowaniu ciekawych imprez kulturalnych. Z kolei dzięki programowi współpracy między uczelniami zwanemu Erasmus, można wyjeżdżać studiować na zagraniczne uczelnie.

Rozmawiali, spisali i zredagowali: *Zbigniew Jaśkiewicz* i *Kamil Ciecierski*